

## NADFIOLET

O piątej rano było chłodno. Park pełen wilgotnego cienia i ciszy, alejki puste. I tylko jedna obserwatorka wprowadzająca zmiany do układu. Najpierw złapała kroplę rosy z gałązki *Rosa canina* na palec i oblizała go. Potem, tak samo jak poranne światło, rozejrzała się z ciekawością po nieznanym miejscu. Delikatne złoto słonecznego blasku okrywało beton starych bloków, jakby próbowało poprawić humor tej smutnej architektury. Wyglądały teraz jak rząd górników protestujących przed Sejmem, którzy zaintonowali nagle „Mesjasza” Händla. Ktoś parzył kawę i wiatr przyniósł zapach aż tutaj. Nie musiała patrzeć na plan. Od dawna miała to miasto zapisane w wyobraźni. Wstała z ławki, wzięła swoje rzeczy, poszła wzdłuż parku, wąskiego pasa między ulicami, zielonej żyły w ciele miasta. Przeszła przez parking obok jednego z budynków UWM, główną ulicą obok betonowej, szaro-czerwonej narośli centrum handlowego i pruskiego aresztu otoczonego pokrytym reklamami murem. Przez Stare Miasto, gdzie wymieniła spojrzenia z Jakubem Pielgrzymem unieruchomionym w piaskowcu obok nieczynnej fontanny. Przez most nad Łyną. Obok byłych koszar. Skrajem miasteczka uniwersyteckiego. Zostawiła za plecami jezioro. Ciche uliczki, domki jednorodzinne. Żonkile, tulipany. Czarny kot z agrestowymi oczami przechadzał się leniwie. Inny, pręgowany, przeskoczył płot.

Biało-błękitna figura Matki Boskiej w wypielęgnowanym ogródku lśniła oślepiająco w promieniach słońca. Przy otwartej furtce sąsiedniej posesji stała ciemnowłosa, średniego wzrostu kobieta w jasnej spódnicy, bluzce i klapkach. Naklejała ogłoszenie. Przez uchylone okno było widać jej kuchnię, wyszorowana patelnia na ścianie kipiła światłem.

Przystanęła i postawiła obie torby na ziemi.

— Dzień dobry. — Popatrzyła na twarz kobiety, ale potem opuściła wzrok i przyglądała się jej stopom, bladym, z wysokim podbiciem i drobnymi palcami.

— Dzień dobry. — Kobieta odczuła to spojrzenie tak dotykalnie, że zbliżyła rękę do stopy, żeby je strzepnąć, ale zakłopotana, cofnęła ją szybko. Taśma klejąca została jej na palcach drugiej ręki, ogłoszenie trzepotało. — Pani kogoś szuka?

— Będę tu mieszkać — wyjaśniła.

Zdumienie, które ogarnęło kobietę, było tak silne, że graniczyło z szokiem.

— Przecież dała pani ogłoszenie. — Ta, która przyszła, dotknęła kartki, która wrywała się jak ptak.

— Ale przecież...

— Może je pani zdjąć.

— Ale jakim sposobem...

— Zapłacę z góry i tak dalej. Nie piję i nie puszczałem techno o drugiej w nocy. Chcę wejść i wziąć prysznic. — Uśmiechnęła się.

Uśmiech. Kobieta zapatrzona w niego ogłupiała, sklepiła sobie do reszty palce taśmą, zdejmując zapisaną swoim kaligraficznym pismem kartkę. Najdziwniejsze było to, że coś jej ten uśmiech przypominał, tylko nie miała pojęcia co.

— No dobrze, w sumie chciałam ten pokój wynająć jak najszybciej. Przedtem mieszkała tu para studentów, na tej ulicy w ogóle dużo studentów mieszka, mają blisko na zajęcia. Źle trafiłam, zarzekali się, że są spokojni. I byli. Przez miesiąc. Potem co dwa dni robili imprezę. Przez całą noc miałam dyskotekę, a rano musiałam wyciągać obcych ludzi z wanny. Dziecko rano idzie do szkoły, ja mam dyżury, bo jestem pielęgniarką. Prosiłam, groziłam, przez tydzień było lepiej, a potem znów od nowa. Wreszcie ich wyrzuciłam. Jeśli pani będzie mieszkać sama, to policzę...

— Będę mieszkać sama. — Założyła plecak, dwie torby wzięła w prawą rękę, lewą jednym ruchem oderwała od dłoni kobiety w kłapkach ogłoszenie i zwinęła je w kulkę. Wylądowało w blaszanym kubku na śmieci.

— Jak długo?

— Jak długo będzie trzeba.

— Chciałabym podpisać umowę. Może na pół roku? Zawsze może pani zrezygnować, tylko proszę mi o tym powiedzieć choć dwa tygodnie wcześniej.

— Proszę bardzo.

Kobieta gestem wskazała kuchnię, przyniosła wydrukowaną umowę.

— Przepraszam, że tutaj, ale biurko jest w pokoju Oli, nie chcę jej budzić, a ja w swoim mam tylko taki mały chwiejny stolik. — Położyła dłoń na ciemnym blacie dębowego stołu kojarzącego się z niedzielnym obiadem tradycyjnej rodziny. Odruchowo sprawdziła, czy nie zrobiła jakiegoś błędu. Własne imię, Hanna, wydawało jej się dziwne i obce, zawsze takie było, na każdym dokumencie. Jakby w jakichś niepamiętnych czasach nazywała się inaczej.

— Proszę przeczytać.

Tamta kobieta przebiegła wzrokiem tekst, trzymając kartkę dwoma palcami. Wyjęła wieczne pióro z kieszeni czerwonych sztruksów i pisała szybko, lewą ręką, opierając umowę o powietrze. Z drugiej kieszeni wyciągnęła banknoty w tym momencie, kiedy Hanna wymieniła już sumę, ale jeszcze nie wspomniała, że płaci się z góry. Pieniądze długo leżały na stole, bo gospodyni odnalazła w umowie miejsce przeznaczone na imię i nazwisko najemcy. Natychmiast podniosło się jej ciśnienie, aż do szumu w uszach.

— To jakiś żart? Albo pseudonim? Dowodu osobistego też pani nie ma? — Zauważyła następną lukę. — Przecież ta umowa jest nieważna. Drozd Zielona Różdżka! Kompletna bzdura! — Hannie zabrakło tchu. Inwencji też.

— Tak się nazywam. A dowód mam, tylko nie lubię się nim posługiwać. Umowa jest ważna. Zresztą nikt poza nami nie będzie jej oglądał. Naprawdę. Idę wziąć ten prysznic.